

Teksty Drugie 1990, 5-6 , s. 177-200



CENTRUM
HUMANISTYKI
CYFROWEJ

Rozmowa w jesieni

Z Tomasem Venclovą rozmawia Magdalena Lubelska

Rozmowy

Rozmowa w jesieni

z *Tomasem Venclovą* rozmawia
Magdalena Lubelska

Magdalena Lubelska: *Czytelnicy polscy znają Pana Profesora głównie jako poetę, dysydenta-emigranta a mniej znana lub w ogóle nie znana jest pańska biografia lituanisty, literaturoznawcy, slawisty. Czy zechciałby Pan opowiedzieć o swoich studiach, o podjętej jeszcze w Związku Radzieckim pracy doktorskiej, o ludziach zgromadzonych wokół Łotmana, o pracach, które Pan przedsięwziął i książkach, które Pan wydał, w końcu o drodze na uniwersytet w Yale.*

Tomas Venclova: Długa to byłaby opowieść. Z wykształcenia jestem lituanistą. Skończyłem język i literaturę na Uniwersytecie Wileńskim. Te studia trwały pięć lat. W moim wypadku nawet sześć, bo przez jeden rok byłem poza uniwersytetem z różnych powodów, częściowo politycznych. W czasie tego na wpół przymusowego pobytu poza uniwersytetem wyrobiłem sobie zawód, to znaczy zostałem kierowcą zawodowym, mam prawo prowadzenia samochodu ciężarowego.

M. L.: *Przydało się kiedyś?*

T. V.: W zasadzie nie. Ale jednak w razie czego mogłem zawsze powiedzieć, że mam zawód i jeżeli coś, to pojadę i będę kierowcą ciężarówki. Ale to wszystko są głupstwa. Lituanistykę na Uniwersytecie Wileńskim ukończyłem w 1960 roku, tzn. jeszcze w złych czasach, choć po 1956 było trochę lepiej. Wykładano tam także literaturę rosyjską — w sposób bardzo zły.

M. L.: *To znaczy — nierzetelnie czy w sposób znieprawiony ideologicznie?*

T. V.: I jedno, i drugie. Po prostu profesorowie nie mieli talentu, rekrutowali się z warstw niezbyt oświeconych. Ale miałem takie szczęście, że jeden z moich przyjaciół Litwinów pojechał na uniwersytet moskiewski. Nie będę wymieniał jego nazwiska, choć jest to postać na Litwie znana, ale on w polityce nie uczestniczy, teraz ma podobno prywatną galerię sztuki. On zna się na sztuce i na wielu innych rzeczach. No i ten przyjaciel pojechał na uniwersytet moskiewski i został stamtąd po paru latach wyrzucony. Zdążył się zarazić od studentów moskiewskich, którzy z nim studiowali — np. jednym z jego przyjaciół był Wieniedikt Jerofiejew, nieboszczyk, no i kilku innych w tym samym duchu, którzy go zaznajomili z prawdziwą literaturą i krytyką rosyjską. Musiał powrócić do Wilna i z niejakim trudem został przyjęty po tym wyrzuceniu na Uniwersytet Wileński. I on z kolei mnie zaraził. Zaczął mi przynosić wtedy jeszcze niedostępne teksty wczesnych formalistów, wczesną prozę Pasternaka, poezję, Cwietajewą w maszynopisach. I gdzieś na 3, 4 kursie zainteresowałem się na serio tą zabronioną literaturą rosyjską. Żeby to nie wyglądało zupełnie niepatriotycznie, powiem, że interesowaliśmy się też nieznaną i zabronioną literaturą litewską, przede wszystkim emigrantami. Bo emigracyjna literatura litewska to jest wielka rzecz, tak jak emigracyjna literatura polska.

T. V.: *W związku z tym, którzy pisarze powinni być tłumaczeni na światowe języki?*

T. V.: Mówiłem już o tym w artykule do 3 numeru „Tekstów”. Na przykład Radauskas, który był poetą wielkiej miary. Był trochę tłumaczony na angielski przez Randalla Jarrella, dość wybitnego poetę amerykańskiego. Ale na ogół w skali światowej nie jest znany, i to szkoda. Nie porównałbym go z Mandelsztamem, ale to poeta idący w tym samym kierunku. Mandelsztama zresztą znał i uwielbiał. Lubił też skamandrytów. Mogę jeszcze dodać, że urodził się w Krakowie, ale był Litwinem. Albo bardzo dobry poeta, który żyje, jest już raczej w podeszłym wieku — Nyka Niliūnas. To wszystko jest literatura na serio.

W ostatnich latach mego pobytu na uniwersytecie trafiała na Litwę w maszynopisach, nawet w rękopisach. To wszystko krążyło, ja też to przepisywałem, pokazywałem innym, uczyłem się tego na pamięć, i to wszystko nas interesowało w takim samym, albo i większym stopniu, jak zabroniona literatura rosyjska. Potem, już po uniwersytecie, zainteresowałem się literaturą polską. Na uniwersytecie w Wilnie pozostała ogromna biblioteka polonistyczna, która była w zasadzie dostępna. Nie zawsze, ale

jednak. Jak już mówiłem w innych wywiadach, około roku 1956 nauczyłem się dość dobrze języka polskiego, bo po polskim październiku prasa polska wydawała się nam na Litwie bardzo ciekawa.

Do tego doszedł Virgilijus Čepaitis, drugi mój przyjaciel. To wszystko była jedna grupa: ten, który ma teraz prywatną galerię, Virgilijus Čepaitis, a także Juozas Tumelis, teraz głowa sejmu Sajudisu, bardzo wybitny litewski mediewista. Spotykaliśmy się często, rozmawialiśmy także na tematy polityczne. Język polski wykładano na uniwersytecie i oczywiście wypadało lituanie nauczyć się trochę polskiego. Wykładała starsza pani, która potem wyszła za mąż za profesora Otrębskiego, wyjechała do Polski i tutaj, o ile wiem, zmarła prawie 20 lat temu. Jej panięskie nazwisko było Samaniute. Była na wpół Litwinką, na wpół Polką. Bardzo ślicznie wykładała język polski. Ja trochę polskiego znałem z domu, więc poszło mi to łatwo. Zacząłem czytać. Duży był wpływ Čepaitisa. On uczył się w Moskwie, tyle że nie na uniwersytecie a w tzw. Instytucie Gorkiego, który przygotowuje pisarzy (co jest z definicji niemożliwe). W każdym razie z tego instytutu powinni wychodzić literaci. On tam studiował jako tłumacz. Zresztą potem wiele lat pracował jako tłumacz z języka litewskiego na rosyjski. On wcześniej nauczył się polskiego i bardzo się tym zaraził, Mrożkiem, Lemem, potem Gombrowiczem. To wszystko tłumaczył, dawał nam do czytania, i tym dużo zajmowaliśmy się podczas spotkań tej nieformalnej grupy.

Potem, po uniwersytecie, stworzyłem niewielkie kółko, w którym nie było wymienionych wcześniej przyjaciół, ale wchodziło chyba około dwunastu innych ludzi, zajmowaliśmy się literaturą, krytyką, kulturą awangardową, Joyce, Kafką, Meyerholdem.

M. L.: *To była taka odmiana kola naukowego, czy zakonspirowanego?*

T. V.: To było kółko samokształceniowe, zbieraliśmy się w prywatnym domu i nikomu o tym nie mówiliśmy. W końcu ktoś tam doniósł, nawet wiem kto i jak, skończyło się na przesłuchaniach w KGB. Mogła z tego wyniknąć większa awantura, nawet więzienie, ale nie wyniknęło z różnych powodów, i dzięki Bogu wszyscy zostali na wolności. Tyle, że trochę popsuło to życie wielu z nas, w tym i mnie.

Uniwersytet ukończyłem jako lituanista, napisałem pracę o dość wybitnym pisarzu emigracyjnym, jednym z tych niewielu, którym po śmierci w jakimś sensie przebaczone i zaczęto wydawać. Nazywał się Kreve Mickevičius. To znaczy pisarz początku XX wieku. Związany z Młodą Polską. Pierwszy

zbiór wierszy napisał w języku polskim (to były kiepskie wiersze), potem został znanym dramaturgiem, prozaikiem. Jego dramaty dotychczas są grane na scenach litewskich. Jest uważany za klasyka. Napisałem o nim pracę dyplomową.

M. L.: *O całej jego twórczości?*

T. V.: Nie, o jednym z jego dramatów pod tytułem *Sarūnas*. Kreve Mickevičius miał dziwne życie. W roku 1940, kiedy przyszli Sowieci, został wytypowany na premiera Litwy. Był nie tyle lewicowych poglądów, co pokłócony z rządem litewskim, częściowo z powodów prywatnych. Więc został marionetkowym premierem zsovietyzowanej republiki. Kilka razy rozmawiał ze Stalinem, Mołotowem itd., i kiedy zorientował się do czego to wszystko zmierza, zrezygnował z premierostwa i został prezydentem Akademii Nauk Litwy. W czasie okupacji niemieckiej opublikował wspomnienia o swoich rozmowach z Mołotowem i innymi. To było ciekawe w każdym sensie tego słowa i potem już nie mógł pozostawać na Litwie. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych, do Filadelfii, gdzie wykładał na uniwersytecie i zmarł w 1954 roku.

W jakiś dziwny sposób mu wybaczone. Zaczęto go drukować, oczywiście nie wszystko, zaczęto o nim mówić. To była postać bardzo poważna, coś jakby Żeromski, Prus i Tetmajer w jednej osobie. Więc o nim pisałem tę pracę dyplomową. Zresztą bardzo naiwną. To gdzieś pokutuje w archiwum i nie chciałbym, żeby ktoś się tym zajmował.

M. L.: *Sądził Pan, że uprawia naukę czy krytykę?*

T. V.: Ja zajmowałem się zagadnieniem rodzaju literackiego — czy *Sarūnas* jest dramatem, a jeśli niezupełnie, to co to jest. To lesedrama, coś między eposem a dramatem, czego wystawić w zasadzie nie można, a jeśli, to z wielkimi skrótami. Wymyśliłem wtedy na własny użytek teorię rodzajów opartą na kryterium czasu. Bardzo toporną i naiwną. No, miałem wtedy dwadzieścia lat. Dwadzieścia kilka. Ktoś mi później powiedział, że ja naśladowałem w tej teorii jakiegoś Niemca. Tyle że ja o tym Niemcu nie miałem pojęcia.

M. L.: *Jak wyglądało zakończenie studiów?*

T. V.: Każdy musiał przejść przez końcowe egzaminy z języka, z literatury a także niestety z marksizmu-leninizmu. Ale wtedy, chociaż już byłem dysydem, uważałem marksizm za rzecz płodną, jeśli podejdziesz się do niego w sposób nieuprzedzony. Dlatego jakoś zdałem ten egzamin. Potem

już nie mogłem. Odrzuciło mnie zupełnie od tych rzeczy. W 1960, kiedy zdawałem ten egzamin, byłem na poziomie [tu Venclova tłumi śmiech] wczesnego Kołakowskiego, *mutatis mutandis*.

M. L.: *I co robił absolwent lituanistyki w tym czasie?*

T. V.: No, właśnie. Zostałem człowiekiem bez miejsca. Bo skierowano mnie do pracy w Encyklopedii Litewskiej. Wtedy miała wychodzić taka encyklopedia, ale zniknęła w stadium organizacyjnym.

M. L.: *Dlaczego?*

T. V.: Z wielu powodów. Chyba w 1961 roku zdecydowano, że Litwa nie powinna mieć własnej encyklopedii, bo i po co, kiedy jest encyklopedia moskiewska, tak? Później to się zmieniło, po jakichś 10 latach została wydrukowana encyklopedia litewska w kilkunastu tomach, niezbyt dobra, trudno, ale jednak istnieje.

No więc byłem człowiekiem bezrobotnym, co mi bardzo odpowiadało. Miałem wtedy to kółko samokształceniowe, potem przesłuchania, nieprzyjemności i zostałem tłumaczem zawodowym. Podpisywałem kontrakty z wydawnictwem na konkretne tłumaczenia. Pierwszą książką, którą tłumaczyłem z polskiego, były opowiadania Iwaszkiewicza, potem *Spiżowa brama* Brezy.

M. L.: *Które opowiadania Iwaszkiewicza Pan wybrał?*

T. V.: Wybór był robiony przez wydawnictwo, chyba *Brzezina*, *Bitwa na równinie Sedgemoor*, *Młyn nad Utratą*...

Nie pamiętam już co tam było, te opowiadania wtedy, tak jak teraz, nie robiły na mnie większego wrażenia. No i byłem sobie zawodowym tłumaczem, żyjącym na uboczu życia kulturalnego, społecznego, co mi odpowiadało, bo każdy, kto żył w centrum tego życia, musiał dokonywać mało sympatycznych kompromisów. Ja jakoś tego unikałem. Wciąż spotykałem się z tym kółkiem przyjaciół, którzy też istnieli na uboczu wszystkiego, zwłaszcza mediewista Tumelis — wspaniały człowiek.

Potem z powodów raczej prywatnych mieszkałem w Moskwie i Leningradzie, i wtedy zaczęło się to zainteresowanie Tartu.

Bo w Tartu zjawił się Łotman, człowiek dużego formatu, i zaczęło się tam dziać coś bardzo interesującego. Tartu jest blisko, tzn. można wsiąść do pociągu w Wilnie rano i o piątej wieczorem już jest się tam. Jest to wciąż państwo bałtyckie, mniej więcej te same stosunki społeczne, ta sama atmosfera...

M. L.: *Podróżowało się bez utrudnień?*

T. V.: Absolutnie! To jest to samo co pojechać z Warszawy do, powiedzmy, Szczecina. Więc zacząłem tam jeździć.

M. L.: *Co to było Tartu w tych czasach, około roku 1965? To znaczy od momentu wydawania tej słynnej serii Trudy po znakowym sistemiem?*

T. V.: Na początku lat sześćdziesiątych ukazały się pierwsze woluminy, od razu to przeczytałem, i zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Oczywiście to nawiązywało do formalizmu rosyjskiego, który trochę znałem. Sądziłem, że to są rzeczy dość proste, ale takie, które trzeba powiedzieć. Potem to się stało znacznie bardziej złożone.

Ale głównie Tartu mnie przyciągało nawet nie tyle Łotmanowską metodologią, ile po prostu przez atmosferę, klimat. Bo tam była atmosfera niezgody na zastany system, atmosfera przekory, atmosfera dowcipu...

M. L.: *...tego nie czuje się do końca, znając Tartu tylko z serii wydawniczej*

T. V.: a tak, tego nie widać, chociaż trochę jednak, bo poza *Trudami*... wydawano inne druki, różne jednodniówki. I w tych drukach były rzeczy dziwne. Zbierali się w Tartu ludzie z całego Związku, bo tam można było czuć się, jakby władza komunistyczna nie istniała w ogóle. Można było jakoś się odgrodzić i zajmować się czym kto chce. Ktoś zajmował się np. Gurdżijewem. Wie Pani, kto to jest Gurdżijew? To taka mistyka zachodnioeuropejsko-orientalna, raczej podejrzanego autoramentu, ale jeżeli ktoś chciał zajmować się Gurdżijewem, to zajmował się.

Przyjeżdżała do Tartu Natasza Gorbaniewska i miała tam wieczory poetyckie. Przyjeżdżała, jak zawsze, autostopem. Żeby Natasza Gorbaniewska miała oficjalny wieczór poetycki w sali ze studentami, to było gdzie indziej nie do pomyslenia.

M. L.: *To było po 1968 roku?*

T. V.: Nie, po 1968 Natasza Gorbaniewska już siedziała. W okolicy 1965 to było normalne tylko w Tartu. Nie mogło się to zdarzyć w Moskwie, Leningradzie ani w Wilnie.

M. L.: *To znaczy, że już wtedy była znana jako działaczka?*

T. V.: Jako działaczka — nie. Jako poetka. To znaczy ona już wtedy dużo robiła, ale w konspiracji.

M. L.: *I mimo to wieczory poetyckie były niemożliwe?*

T. V.: Oczywiście, bo była na różnych czarnych listach, jako podejrzana. Prawdopodobnie KGB dużo wiedziało o jej działalności. Poza tym ona zawsze zachowywała się ostentacyjnie. Nigdy nie ukrywała swych prawdziwych poglądów. Ja zresztą też do takich ludzi należałem. Nie ukrywałem co mi się podoba albo nie. Bo np. w Wilnie, w ogóle w państwach bałtyckich bardzo modna była hipokryzja. A więc ukłony, reweranse — ale tak naprawdę jesteśmy Litwinami i nienawidzimy tego wszystkiego. Nie godziłem się na tę hipokryzję, że oto pracuję w cichości ducha, zacisnąwszy zęby, nad uwolnieniem Litwy, ale na zewnątrz robię wszystkie ukłony, i im więcej tych ukłonów, tym lepiej.

M. L.: *A więc żaden ketman, żaden wallenrodyzm...*

T. V.: no właśnie, na żaden ketman nie zgadzałem się, i z tego powodu inteligencja litewska nie przyjmowała mnie. Byłem na Litwie outsiderem, zresztą wciąż jestem.

M. L.: *Nataszę Gorbaniewską poznał Pan w Tartu?*

T. V.: Nie. Nataszę poznałem w Moskwie, to długa historia. Znacznie wcześniej, chyba w 1961, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Moskwy. Zaznajomiłem się z dużą ilością ludzi, z Alikiem Ginzburgiem znałem się już przedtem, kiedy on przyjeżdżał do Wilna.

Wracając do atmosfery Tartu: Łotman napisał np. pracę, którą wydrukował w jednym z tych małych druczków: *O chwytach w zakończeniu powieści* i dał motto z Brodskiego, który wtedy był początkującym poetą: *Priszlijtje mnie knigu s choroszym kańcom* — co było nie do pomyślenia na jakimkolwiek innym uniwersytecie.

Albo inna historia. Np. o Nabokowie nie można było zrobić najmniejszej wzmianki. W jego powieści *Dar* głównym bohaterem jest Godunow Czerdyńcew, alter ego Nabokova. Godunow Czerdyńcew pisze wiersze, na tym częściowo polega książka i te wiersze są cytowane w różnych miejscach powieści. Jeden ze studentów Tartu napisał pracę *O mało znanym rosyjskim poecie emigracyjnym Godunowie Czerdyńcewie*. I to można było wydrukować za pozwoleniem Łotmana, który uwielbiał takie rzeczy. Nabokov nie był wzmiankowany, ale poetyka Czerdyńcewa została przeanalizowana. *Sapientii sat.*

Zresztą było wiadomo, że jeżeli kogoś nie przyjęto na Uniwersytet moskiewski, wileński lub jakikolwiek, to zawsze była szansa przyjęcia w Tartu.

M. L.: *A jaką funkcję pełnił Łotman?*

T. V.: On był głową wydziału literatury rosyjskiej. Łotman ukończył Uniwersytet w Leningradzie po wojnie. Przyszedł tam jako weteran wojenny, żołnierz, który w 1942 roku na froncie wstąpił do partii. Co mu pomogło. Wstąpienie do partii w czasie wojny zawsze było (i jest) uważane za coś innego niż wstąpienie do partii po wojnie lub przed wojną. To jednak nie psuło człowiekowi opinii w kręgach dysydenckich. Nie wiem, czy nadal jest w partii, wtedy mu to pomogło, że taki człowiek o szerokich horyzontach a jednocześnie jednak partyjny. No oczywiście Łotman był zawsze bardzo przyzwoity. Nic mu nie można zarzucić. I pod jego skrzydłami rozwijało się bujne życie studenckie i nie tylko studenckie, bo przyjeżdżali tam naukowcy z Moskwy, Leningradu, Wilna, którzy jakoś nie mieścili się na uboczu i mieli różne dziwne zainteresowania.

Co jeszcze? Na przykład był taki student, który teraz pracuje w Radio Wolna Europa, nazywał się Gabriel albo Garik Superfin, znany z niesamowitej erudycji. Bardzo młodziutki wtedy chłopak, którego nie przyjęto na uniwersytet moskiewski, częściowo dlatego, że Żyd, częściowo dlatego, że dziwny i ma „niezdrowe” zainteresowania. Żeby go nie przyjąć, wymyślano potworne pytania, a on na każde odpowiadał.

Koronne pytanie było: jak się nazywał syn Fausta? Na to Garik odpowiedział zgodnie z prawdą, uważając to za rzecz najprostszą w świecie, że nazywał się Euforion. To jest w II części Fausta i tego prawie nikt nie pamięta. Nawet germaniści. Wtedy mu powiedziano: „jest Pan wariatem i nie możemy Pana przyjąć”. Pojechał do Tartu i został przyjęty, bo tam właśnie ludzie, którzy wiedzieli, jak się nazywał syn Fausta, byli w wielkim poważaniu. Potem został dysydem, siedział przez długie lata. A po wyjściu z więzienia nie mógł wrócić do pracy naukowej. Teraz znajduje się na Zachodzie i pracuje, jak mówiłem, w radio. Cieszę się, że go dobrze znam. Środowisko w Tartu składało się w znacznej mierze z takich ludzi. Szalenie ciekawe. Nawet mieszkałem kilka miesięcy w Tartu, bo Łotman zaprosił mnie na wykłady z literatury litewskiej. Wykładałem przez jeden semestr literaturę litewską dla Estończyków.

W tym czasie zacząłem czytać strukturalistów. Levi Straussa, Jakobsona, Barthesa, Umberto Eco — co było częściowo już dostępne, w znacznym stopniu w przekładach polskich. Jednocześnie zainteresował mnie Freud i Jung, co widać trochę w mojej książce *Nieustojczywoje rawnawiesie*. Z tego zresztą profesor Stankiewicz z Yale był niezbyt zadowolony. Połączenie lingwistycznej filologii z Jungiem wydawało mu się eklektyczne i podejrzan.

Ale w Tartu interesowano się tym, zwłaszcza Eliadem. Władimir Toporow, wielki semiotyk, jest w sposób niezbity związany z tym rodzajem myślenia, i ja uważam się w znacznym stopniu za ucznia Toporowa.

M. L.: *Rozważał kosmologiczne źródła kultury, mit o kosmicznym jaju...*

T. V.: właśnie, pisał również o kosmicznym drzewie, indoeuropejskich rytuałach, pochodzeniu symboli. Oni teraz wydali w języku rosyjskim dwa ogromne woluminy (już jest drugie wydanie) *Mity narodow mira*. Chyba najlepszy słownik mitologiczny, jaki istnieje na świecie. Lepszy od słowników angielskich i francuskich. Głównymi autorami byli Koma Iwanow i Władimir Toporow, a także Sergiusz Awierincew, który nie należy do tej szkoły, ale jest uczonym, przede wszystkim teologiem. Awierincew użył tego jako pretekstu do napisania kursu teologii chrześcijańskiej. Jest tam np. artykuł *Jezus Chrystus* albo o różnych świętych chrześcijańskich. I to tak napisane, że nawet najgorętszy katolik nie znajdzie nic zdrożnego.

M. L.: *To znaczy, że Biblia została przedstawiona jako mitologia?*

T. V.: Niezupełnie, to jest wykład teologii chrześcijańskiej pod pozorem mitologii. Awierincew robi zresztą rozróżnienie między teologią a mitologią chrześcijańską (także judaistyczną). W każdym razie, gdyby zebrać osobno artykuły na tematy biblijne i zrobić z tego oddzielną książkę, to Watykan chyba dałby placet.

Iwanow i Toporow pisali tam głównie o mitologii słowiańskiej, także bałtyckiej oraz indoeuropejskiej, hinduskiej, hetyckiej. W mojej bibliotece prywatnej to jest książka podręczna. Na wspólnym poziomie, erudycyjna, z bardzo obszerną bibliografią.

Ale o czym mówiliśmy? O Tartu; przyjeżdżali tam ludzie o najrozmaitszych zainteresowaniach, mówiłem o stronnictwie Gurdżijewa, przyjeżdżali buddyści.

Iwanow i Toporow starali się robić syntezę kierunków mitograficznych w krytyce i kierunków ściśle semiotycznych. Próbowałem w mojej pracy iść w tym kierunku, ale profesor Stankiewicz nie uznał tego za syntezę, tylko eklektyzm, i pewnie w moim wypadku miał rację. Chociaż chciałem dobrze [śmiech T.V.].

M. L.: *A jak traktowano w Tartu Freuda? W Polsce aktualnie tylko nieliczni traktują go na serio.*

T. V.: W Tartu było mało Freuda. No cóż, można Freuda traktować bardziej lub mniej poważnie, ale w każdym razie on wchodzi do żelaznego repertuaru kultury europejskiej. Trzeba to przeczytać, znać i jakoś się do tego ustosunkować. Tak samo zresztą jak do Marksa. Jeden z moich przyjaciół powiedział mi kiedyś: widziałeś już rządy marksistów i wiesz, że to rzecz nie najprzyjemniejsza na świecie, ale co by było, gdyby były rządy freudystów? To by było dopiero, każdy musiałby zabić swojego ojca, ożenić niezwłocznie z własną matką itd.

Zresztą Łotman napisał kilka artykułów rozpatrujących Freuda z lingwistycznego punktu widzenia. Tłumaczył np. kompleks Edypa jako skutek tego, że małe dziecko najwcześniej poznaje 3 słowa: matka, ojciec, ja. Tak go przewartościował.

W każdym razie najpopularniejsza była krytyka mitograficzna: Jung, Eliade, Frye. To było znane i nawet modne. Zajmował się tym Mieletyński. Ja dotychczas proponuję moim studentom amerykańskim *Poetykę mitu Mieletyńskiego*, także oczywiście Proppa.

M. L.: *Czy w tej atmosferze Tartu chciał Pan być semiotykiem, czy dystansował się Pan wobec metodologii w swoich przedsięwzięciach?*

T. V.: Wie Pani, ja zawsze byłem outsiderem. Pod każdym względem. Byłem outsiderem na Litwie z tego prostego powodu, że nie byłem ksenofobem. Bo na Litwie ksenofobia zawsze była i wciąż jest bardzo modna. Tak samo chyba w Polsce. Dobry Polak to jednak tak naprawdę nie lubi tych Moskali, tych Żydów, tych Litwinów...

M. L.: *O Litwinach nie słyszałam...*

T. V.: No, może... Zresztą to wszystko jest zrozumiałe, tak się układało życie od stuleci, ale nigdy nie uważałem tego za pożądane. Nie byłem ksenofobem a nawet bardzo interesowałem się kulturą uważaną za niebezpieczną dla Litwy: rosyjską i polską.

Pisałem wiersze. Tyle, że rzadko i mało. Dla mnie to była najważniejsza sprawa w życiu, te wiersze, ale w żadnym wypadku nie mogłem tego uważać za zawód. Z zawodu byłem tłumaczem. Udawało mi się tłumaczyć rzeczy ważne. Przetłumaczyłem na język litewski dużo rzeczy od *Ziemi jałowej* Eliota do *Króla Ubu* Jarry'ego. Taki kanon literatury modernistycznej.

M. L.: *Pańskie wiersze są dla Pana najważniejsze w życiu, czy w ogóle uważa Pan sztukę za najważniejszą w życiu?*

T. V.: Trudno powiedzieć. Był taki okres, a z drugiej strony uważam, że to chyba robię lepiej niż cokolwiek innego. I ponieważ mam się jakoś usprawiedliwić przed Panem Bogiem, to zawsze Mu powiem, że napisałem parę wierszy. Bóg powie: no, dobrze, w ciągu życia narobiłeś wiele głupstw, ale parę wierszy — to może wystarczy. Zawsze podchodziłem do tego w ten sposób. A nauka po prostu mnie interesuje, tzn. Jakobson jest interesujący, Żirmunski jest interesujący, Łotman — interesujący, Saussure, Jung, Freud, nawet Marks w jakimś stopniu jest interesujący. To wszystko jest awantura umysłowa, ale to nie jest główną rzeczą. Dla chleba — pracowałem jako tłumacz — i nie tylko dla chleba — bo jednak mam tę satysfakcję, że przyswoiłem językowi litewskiemu coś, co było ważne w świecie. I była to jak gdyby kampania oświeceniowa.

W tym sensie natchnieniem dla mnie był Boy-Żeleński. Tylko że dla Boya jedne rzeczy były ważne, dla mnie trochę inne.

M. L.: Powiedział Pan coś bardzo interesującego w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego”, że w zasadzie każda literatura, nawet najmniejsza, zaspokaja duchowe potrzeby mieszkańców swojego kraju...

T. V.: To powiedziałem nie ja. To powiedział Borges. I uważam to za słuszne, tylko zawsze dodaję do tego, że w końcu każda literatura nie zaspokaja tych duchowych potrzeb, bo od tego jest religia, w tym sensie każda literatura kapituluje.

M. L.: Przepraszam, chyba niepotrzebnie odwodzę Pana od Tartu.

T. V.: W Tartu zrodził się projekt dysertacji doktorskiej. Ale rzecz trafiła z miejsca na kilka przeszkód. Przede wszystkim tam też trzeba było zdać egzamin z marksizmu-leninizmu, a tego już nie mogłem. Odrzucało mnie od tego w sposób fizyczny. Łotman to świetnie rozumiał i proponował, żebym to zdał w Wilnie w sposób zdawkowy. Powiedziałem: nie potrafię w sposób zdawkowy też. Z drugiej strony moja reputacja polityczna robiła się coraz gorsza, byłem coraz bardziej związany z kręgami studenckimi. To było już po inwazji na Czechosłowację. Natasza Gorbaniewska siedziała w szpitalu psychiatrycznym...

A pracę zacząłem pisać o poecie Bałtrušajtis. Bałtrušajtis był Litwinem, który został symbolistą rosyjskim. Mieszkał w Moskwie, wydał parę książek w języku rosyjskim. Jest to drugorzędny poeta, ale dobry. Przyjaciel Błoka, Biełego, Tadeusza Micińskiego — wielu ludziom pomagał. Zwłaszcza w latach dwudziestych, kiedy został ambasadorem Litwy w Związku Radzieckim. Korzystając z tej pozycji dyplomatycznej mógł

wielu ludzi ocalić. O ile wiem, Chagall wywiózł na Zachód swoje obrazy przy jego pomocy. Bałtrušajtis umożliwił też wyjazd Bielego na Zachód. Bielyj potem wrócił. Ale wyjechał w ten sposób, że najpierw dostał wizę na Litwę. Przebywał jakiś czas w Kownie. Zresztą opisałem ten pobyt w jednym artykule. Bałtrušajtis umarł w Paryżu w 1944 roku. Syn jego był znanym francuskim historykiem sztuki.

No więc pisałem tę książkę o Bałtrušajtisie. Ale Bałtrušajtis to człowiek podejrzany. Jako ambasador niepodległej Litwy miał jakieś niepotrzebne stosunki, np. z Mandelsztamem, z Bielym, z Chagallem, a ja byłem też człowiekiem nieprawomyślnym, więc cała ta praca doktorska była podejrzana.

Z drugiej strony nie mogłem się do tego tak naprawdę zapalić. Miałem zupełnie inny gust poetycki, i jako poeta Bałtrušajtis niezbyt do mnie przemawiał. Człowiekiem był wspaniałym. O tym można się zresztą dowiedzieć ze wspomnień Nadieżdy Mandelsztam. Albo z listów Pasternaka, opublikowanych dopiero w tej książce. Tam Pasternak mówi o Bałtrušajtisie w samych superlatywach.

Więc nigdy tej pracy nie skończyłem. Pozostało z tego kilka artykułów, jeden z nich wydrukowany w Polsce, w książce *Przekład poetycki*, t. 2. Potem wyjechałem do Stanów z powodów nie mających nic wspólnego z filologią.

Na początek wyładowałem w Berkeley, bo tam na jeden semestr załatwił mi pracę Miłosz. Płacono mi niesamowite pieniądze (z mojego punktu widzenia). Za lekcję, która trwała dwie godziny dostawałem tysiąc dolarów. Miałem 10 lekcji, dostałem 10 tysięcy i czułem się milionerem. Potem zrozumiałem, że człowiek w Stanach Zjednoczonych, który ma 10 tysięcy dolarów, jest raczej na poziomie głodowym, ale to już inna sprawa. Te wykłady dotyczyły semiotyki rosyjskiej według Łotmana. Referowałem po prostu prace Łotmana dodając swoje przekłady i domysły. Przeczytałem ten kurs, na który uczęszczali profesorowie, w tym Miłosz; nie miałem żadnego studenta w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie, jednego miałem. Aspiranta, nazywał się Grigorij Frejdin; został naukowcem, pracuje w Stanford i napisał bardzo znaną w Ameryce książkę o Mandelsztamie. Więc przez jeden semestr zrobiłem wprowadzenie do teorii Łotmana, które potem wykorzystałem w swojej książce jako wstęp.

Potem trafiłem na UCLA albo University of California w Los Angeles. Tam jest dobry wydział slawistyczny, ale jakoś nie było dla mnie zajęcia. Głównie wykładałem język litewski dla początkujących, co było rzeczą okropną. Bo ci początkujący to byli głównie Litwini z rodzin emigranckich,

którzy uczyli się, żeby dogodzić swoim rodzicom. Jedni znali język bardzo dobrze, inni w ogóle nie znali. Te trzy lata na UCLA wspominam jako najtrudniejsze lata w moim życiu amerykańskim, raczej bezsensowne. Chociaż tam też próbowałem wykładać semiotykę, już po angielsku. Nie bardzo mi to szło i wielkiego sukcesu nie odniosłem, ani we własnych oczach, ani w oczach studentów.

Potem kontrakt z UCLA skończył się i zacząłem szukać nowej pracy. No i dzięki Bogu, a także dzięki aniołom jego — Brodskiemu i Miłoszowi — dostałem się do Yale. Anielska pomoc sprawiła, że dostałem roczny kontrakt w Yale jako *visiting professor*. Więc dalej wykładałem semiotykę Łotmana, ale dostałem też kurs historii poezji rosyjskiej XIX wieku, i powiedziano mi, że to musi być wszystko oprócz Puszkina, bo o Puszkynie czyta się kurs osobny. To znaczy Batiuszkwow, Boratyński, Niekrasow, Lermontow, Fet, Tiutczew. Uczestniczyłem także w sympozjum na temat Puszkina i wtedy napisałem referat o puszkiniowskim przekładzie *Trzech Budrysów* Mickiewicza. Ten referat potem wszedł do mojej książki. Koma Iwanow sądzi, że to rozdział lepszy od innych, że to nie eseistyka, ale nauka w ścisły sposób dowodząca stawianej tezy.

M. L.: *Przypominam sobie, że i inne rozdziały „Nieustoiczewego równowiesia” miały podobne rekomendacje...*

T. V.: Nie, chyba nie.

M. L.: *Wspomniał Pan, że profesor Stankiewicz najwyżej cenil wstęp, a pozostałe rozdziały...*

T. V.: no więc Stankiewiczowi najbardziej podobał się wstęp; nieboszcze Krystynie Pomorskiej — rozdział o Iwanowie; jest w Yale mój przyjaciel Wasilij Rudicz — niesamowicie mądry człowiek, który pracuje na wydziale filologii klasycznej — on uważał za dobrą rzecz o Niekrasowie; Barańczakowi podobała się analiza Cwietajewej, a także Brodskiemu.

M. L.: *Gdyby nikt nie zajął miejsca przy rozdziale na temat Achmatowej, to ja je rezerwuję.*

T. V.: Tak, chyba nikt nie zajął tego miejsca... Ania Ljunggren, uczona ze Szwecji, mówiła, że wszystko jest bardzo nudne i jednostajne, z wyjątkiem rozdziału o Brodskim.

To dziwne, że każdemu podoba się (albo nie) coś innego.

M. L.: *Może to jest najbardziej godne badania?*

T. V.: No więc zająłem się wykładami z poezji rosyjskiej XIX wieku, którą znałem dość źle i dużo rzeczy z tego okresu przeczytałem po raz pierwszy. Kurs był niezłe przyjęty, czytałem go w języku rosyjskim, ale miałem dość dużo studentów. Z tego kursu pochodzą rozdziały o Fecie i Niekrasowie. Robiłem te analizy w duchu Łotmanowskim, chociaż Pani podobno jest zdania, że to jest, jakby tu powiedzieć, transcendencja Łotmana.

M. L.: *Jeśli Pan pozwoli — to myślę, że Pan rozwija Łotmana, przekracza go, jest Pan mniej ortodoksyjny...*

T. V.: Może nie jestem ortodoksyjny, co zresztą, jak już mówiłem, profesorowi Stankiewiczowi nie podobało się. On uważa, że ścisłość metodologiczna jest ważna, i ma rację.

M. L.: *Czy profesor Stankiewicz zna pańskie wiersze?*

T. V.: Tak, czytał je po polsku. Zdradzę chyba sekret, że Stankiewicz też pisze wiersze. I to dobre! Nikomu nie znane poza kręgiem jego bliskich znajomych. Trudno mi powiedzieć, jak on zapatruje się na moje wiersze, w każdym razie nic złego nigdy nie powiedział, no ale jest człowiekiem bardzo dobrze wychowanym.

M. L.: *Wracając do Pańskiej książki „Nieustoiwoje rawnawiesie”. Czym Pan kierował się zamieszczając analizy tych a nie innych tekstów?*

T. V.: Zrobiłem kilkadziesiąt analiz różnych poetyckich tekstów w duchu, który uważałem za Łotmanowski. Z tych analiz wybrałem osiem najlepszych (w moim mniemaniu) i to zostało przyjęte jako praca doktorska, chociaż to trochę nie wypada. Praca doktorska powinna być monografią.

M. L.: *Pańską książkę cechuje po prostu inna integralność. A jak wygląda obrona pracy doktorskiej w Yale?*

T. V.: Trzech profesorów pisze trzy recenzje. I każdy stawia sześć stopni: za znawstwo literatury przedmiotu, za oryginalność, za intuicję oraz zrozumienie (*insight and judgment*), za jasność (*clearness*), za styl i za władanie wybraną metodą.

M. L.: *Świetny pomysł! Przypomina to trochę skalę Agpara, według której ocenia się stan dziecka po urodzeniu. W końcu doktorat to też narodziny...*

T. V.: Yale jest wyjątkiem wśród uniwersytetów amerykańskich, bo nie ma formalnej obrony. W większości uniwersytetów obrona jest publiczna, odpowiada się na pytania, kłóci się z oponentami...

M. L.: *Jaki jest pański oficjalny tytuł?*

T. V.: Ph. D., tj. doktor filozofii. To jest pierwszy amerykański tytuł naukowy i w zasadzie jedyny. Z takim tytułem można zostać *assistant professor*, a potem, kiedy się dalej pnie, zostaje się *associate professor*. Jeszcze później dostaje się, lub nie, stanowisko *full professor*. To już jest gwarancją posady na życie. Do tego jeszcze nie doszedłem i czuję błąd strach, że może nigdy nie dojdę. A wtedy koniec i kropka. Trzeba iść do Radia Wolna Europa. Albo do innej podobnej instytucji, co mi niezbyt odpowiada.

M. L.: *Kto i kiedy decyduje o tych awansach?*

T. V.: To się decyduje po pięciu latach, mniej więcej między piątym a dziesiątym rokiem pracy na uniwersytecie, bo nie można pozostać dłużej nie będąc pełnym profesorem. Ja teraz po pięciu latach jestem *associate*, tzn. w pół drogi. O awansach decyduje Wydział, koledzy. Otrzymują listę publikacji i czytają prace. Obowiązuje zasada *publish or perish* — albo człowiek publikuje, albo ginie.

M. L.: *Co obejmuje Pańska lista publikacji poza książką, o której mówiliśmy, i poezjami?*

T. V.: Dość dużo prac naukowych o pisarzach rosyjskich. Wiersze, tłumaczenia i publicystyka też się trochę liczą. Jeśli chodzi o książki, to po tej pierwszej rusycystycznej, przygotowuję teraz polonistyczną — O Aleksandrze Wacie.

M. L.: *A co to będzie?*

T. V.: Monografia. Właśnie profesor Błoński mnie spytał: czy masz jakiś wielki pomysł na tę książkę? Odpowiedziałem, że na danym etapie nie, ale chyba to w ogóle będzie książka bez większego pomysłu. Po prostu monograficzna.

Jeszcze dodam coś o sposobie awansowania. Oprócz oceny dorobku przez kolegów muszą być jeszcze opinie różnych ludzi z innych uniwersytetów. A potem, gdy zdecydują, że można przyłączyć się do ich grona jako *full professor*, to jeszcze musi to być zatwierdzone przez władze uniwersyteckie. W Yale w zasadzie nie zdarza się, żeby człowiek przeszedł te wszystkie szczeble bez opuszczania uniwersytetu. Z reguły po pięciu, sześciu latach poszukuje się pracy na innej uczelni. A potem czasem wraca się do Yale. Musi przejść przez ten czyściec na innym uniwersytecie.

M. L.: *Z tego, co Pan dotąd powiedział, wynika, że są trzy znaczące momenty w pańskiej biografii zawodowej: najpierw ten tajemniczy przyjaciel-guru, potem Lotman i Tartu, teraz Yale. Jak najkrócej określiłby Pan wpływ Yale na siebie?*

T. V.: Yale, jak Tartu, to przede wszystkim atmosfera. To jest małe miasteczko, ale jednocześnie blisko Nowego Yorku. A więc ma człowiek spokojną głowę i może pracować, lecz łatwo korzystać z Nowego Yorku i jego wspaniałości. Po drugie — ogromna, bardzo dobra biblioteka. W tym sławistyczna. Po trzecie — wspaniali koledzy. Już nie będę mówił o takich ludziach jak Victor Erlich albo Edward Stankiewicz — każdy wie, kto to jest Victor Erlich, oczywiście...

M. L.: *Russian Formalism...*

T. V.: Tak, do tego syn sławnego Erlicha, którego Stalin rozstrzelał wraz z Alterem. On teraz już jest na emeryturze, ale bardzo obecny wciąż na wydziale. Człowiek niesłychanie sympatyczny, niesłychanie miły.

No więc to obcowanie codzienne z kolegami jest rzeczą wielką. I ze studentami! Bo do Yale trafiają studenci naprawdę mądrzy. Czasem niewykształceni, bo szkoła amerykańska daje wykształcenie złe, w zasadzie bardzo powierzchowne. Ale jak ktoś się dostał do Yale, to ma olej w głowie, i ten olej działa. I w bardzo krótkim czasie student staje się człowiekiem znającym się na rzeczy. Kiedy obcuje się ze studentami, to człowiek robi się czymś w rodzaju ośmiornicy i wysysa trochę mózg studenta. Różne, czasem zwariowane pomysły studenta naprowadzają na interesujące tropy. To, że studenci są mądrzy, bardzo odróżnia Yale od prowincjonalnych uniwersytetów.

Co jeszcze? Taka osobliwość: *lingua franca* wydziału to język polski! Rozmawiamy między sobą głównie po polsku — ze Stankiewiczem, Erlichem, z profesorem Schenkerem i innymi kolegami. Chyba częściowo dlatego przyjęto mnie do ich grona, że znam polski. Mówi się u nas żartem, że wydział literatury rosyjskiej był *Russenfrei*, tzn. nie było żadnego Rosjanina. Teraz już jest. Profesor Aleksandrow, wielki znawca Nabokova i Bielego.

A więc to mi daje Yale: atmosferę, kolegów, bibliotekę, bliskość Nowego Yorku.

M. L.: *A jak Pan korzysta z Nowego Yorku?*

T. V.: No, Brodski mieszka w Nowym Yorku. Poza tym mam tam innych przyjaciół, chodzę do teatrów.

Jest tam dość duża kolonia litewska. Poważna. Ze wspomniałym historykiem Misiunasem, absolwentem Yale, autorem angielskiej książki o państwach bałtyckich.

M. L.: *Według oficjalnych danych, w USA mieszka około 8% współczesnej populacji litewskiej...*

T. V.: Może i więcej? Głównym skupiskiem emigracji litewskiej jest Chicago. Tam jest teatr litewski, czasopisma litewskie, wchodzę do kolegium redakcyjnego kilku z nich: „Akiračiai” — „Widnokreği” — to miesięcznik raczej polityczny, zbliżony do „Kultury”; „Metmenys” — „Osnowa” — wychodzi dwa razy do roku, to czasopismo kulturalno-naukowe, zbliżone raczej do „Twórczości”.

Obydwa czytane na Litwie. Teraz już bez większych przeszkód.

A wracając do Nowego Yorku, to oprócz spotkań z interesującymi ludźmi, np. z Susan Sontag, wykładałem w Columbia University. Miałem tam kurs o Pasternaku i kurs o nierosyjskich literaturach Związku Radzieckiego. Tzn. o literaturze litewskiej, estońskiej, łotewskiej, gruzińskiej itd. Ten kurs nie miał precedensu.

Wykładałem w języku angielskim, miałem 14 studentów, co jest dość dużo jak na taki kurs.

O Yale mogę jeszcze dodać, że jest swojego rodzaju matecznikiem dekonstrukcjonistów. Obecny w USA Aleksander Żółkowski, z kręgu tartuskiego, próbuje łączyć dekonstrukcjonizm i szkołę tartuską. Wydaje się to niezbyt możliwe. To jak ogień i woda albo woda i olej.

Do dekonstrukcji mam stosunek trochę ironiczny, niezbyt dużo tego przeczytałem, a z tego, co przeczytałem — niezbyt dużo zrozumiałem. Wygląda mi to czasem na parodię i częściowo nawet hochsztaplerstwo. Może nie mam racji. Ale w tym nie jestem na swoim wydziale odosobniony.

M. L.: *Czesław Miłosz też natrząsał się z tego na potęgę.*

T. V.: Nasz cały wydział nie lubi dekonstrukcji, i powiem więcej — kiedy Paul de Man został zdemaskowany jako kryptofaszysta, to Wydział miał z tego powodu prawie że święto — że w końcu okazało się, z czego to wszystko się wywodzi... [śmiech].

To oczywiście żarty, a mniej żartobliwą uwagę krytyczną miałbym taką, że to nazbyt często łączy się z prymitywnym marksizmem i prymitywnym freudyzmem.

M. L.: *A feminizm!*

T. V.: No, proszę Pani, ja nie jestem antyfeministą. W żadnym razie! Chociaż feminizm w teorii literatury też wydaje mi się czasem przejaszkrawiony. Feminizm jest bardzo lubiany wśród studentek. Moje studentki głównie piszą na tematy feministyczne. Popularny jest mój kurs o Cwietajewej, przychodzą nie tylko sławistki, ale i studentki z literatury porównawczej, i one piszą prace o Cwietajewej z punktu widzenia feministycznego. I nawet czasem to się udaje. Wracając jeszcze do atmosfery w Yale, chciałbym powiedzieć, że Yale oferuje ciekawe znajomości z ludźmi nie zajmującymi się literaturą i tym bardziej sławistyką w sensie ścisłym.

Na przykład wielkim człowiekiem w Yale jest Jarosław Pelikan, teolog, który napisał wybitną książkę o Jezusie Chrystusie w kulturze ludzkości. Tam jest wszystko — ikonografia, dogmatyka... Sama obecność Pelikana bardzo dobrze wpływa na człowieka.

Albo jest na Wydziale Anglistycznym Lowry Nelson, który zajmuje się barokiem — głównie w Anglii, ale także we Włoszech. Albo Igor Frenkiel, wielki matematyk ściśle współpracujący z najbardziej awangardowymi fizykami doby obecnej.

Jest także już wspomniany mój bliski przyjaciel, Wasilij Rudicz — emigrant z Leningradu. Pracuje na filologii klasycznej w Yale jako *associate professor*. Wasia Rudicz jest niesamowitym człowiekiem. O nim można długo opowiadać. Np. wiadomo że państwo rzymskie istniało przez 1200 lat. Rudicz słynie z tego, że można zadać mu pytanie dotyczące dowolnego roku z tych tysiąca dwustu, i on od razu wymienia konsulów, mówi o podbojach, podatkach w tym konkretnym momencie. Teraz napisał książkę, która wyjdzie w języku angielskim — sądzę, że odniesie sukces — o dysydentach w dawnym Rzymie za czasów Nerona.

Wasia w dzieciństwie czytał Sienkiewicza, lubił *Quo vadis*, a teraz sam napisał o Rzymie Nerona, gdzie np. występuje Petroniusz, chrześcijanie, nawet Winicjusz, który był postacią historyczną. Gdzieś tam w tle oczywiście widać też doświadczenia radzieckie. Wasia zna świetnie literaturę rosyjską, choć z pewnymi dziwnymi lukami. Poznawał ją według specjalnego klucza. On uczył się w szkole sowieckiej i miał za punkt honoru nie czytać niczego, co obejmuje program szkolny. Ale czytać wszystko, o czym w szkole się nie mówi. Dlatego nie wie o co chodzi w *Annie Kareninie*. Ale przeczytał wszystko inne, różne poematy XVII i XVIII-wieczne — zupełnie nieczytelne. On je zna prawie na pamięć. Nie mówiąc już o literaturze XX-wiecznej, którą też zna na pamięć, wyjąwszy Szołochowa.

M. L.: *Miał Pan bardzo różne zajęcia i wykłady częściowo podyktowane potrzebami zatrudniającego Pana uniwersytetu. Jakie zajęcia prowadziłby Pan najchętniej — gdyby miał Pan absolutną swobodę?*

T. V.: Robiłbym to samo, co robię dzisiaj. A gdybym miał absolutną swobodę, to prawdopodobnie leżałbym na kanapie i od czasu do czasu pisał jakieś wiersze. I do tego podróżował. Ale i tak piszę wiersze i podróżuję. Natomiast przy względnej swobodzie robiłbym to, co teraz — seminaria interpretacyjne z wielkich poetów rosyjskich, znanych i lubianych przeze mnie, także przeze mnie tłumaczonych. Robię takie seminaria z Pasternaka, z Cwietajewej, z Błoka, Annińskiego, Iwanowa, z Mandelsztama — nie, z Achmatowej — nie.

M. L.: *Dlaczego z Mandelsztama — nie?*

T. V.: Chociaż bardzo lubię, tłumaczyłem go i znam prawie całego na pamięć — jednak nie uważam się za specja od Mandelsztama. Naprawdę wielkim specem jest Omry Ronen, który pracuje w Ann Arbor, ale chyba przechodzi do Kalifornii. To człowiek, który napisał o Mandelsztamie wybitną książkę z punktu widzenia intertekstualizmu, a Mandelsztam jest wymarzoną postacią takich badań. Praca jest o jednym wierszu Mandelsztama.

M. L.: *Jaki to wiersz?*

T. V.: To *Grifielnaja oda* [*Oda runiczna*, w: Osip Mandelsztam, *Poezje*, Kraków 1971, s. 237 — przypis mój, M. L.] z lat dwudziestych, liczy sobie blisko 100 wersów, a książka ma 400 stron *petitem*. Dowiedziony jest związek wiersza Mandelsztama z krótkim wierszem, który przed śmiercią zapisał na tabliczce XVIII-wieczny poeta rosyjski Dierżawin. Te osiem linijek Dierżawina stanowi jeden z subtekstów *Ody* Mandelsztama. Jeden z bardzo wielu subtekstów. Ronen znalazł ich tam setki albo i tysiące. Powiedział chyba wszystko, co można o tym wierszu powiedzieć. Byłbym raczej zdziwiony, gdyby ktoś powiedział jeszcze coś.

M. L.: *No, to jest wyzwanie dla Stanisława Balbusa.*

T. V.: A jeśli chodzi o Achmatową — w Yale wykładała to Susan Amert. Zresztą Mandelsztama też.

M. L.: *Mocno podkreśla Pan znaczenie ludzi we własnej zawodowej biografii. Czy można prosić o rozszerzenie tego prywatnego leksykonu postaci znaczących.*

T. V.: Taki alfabet Kisiela? Czy, broń Boże, Urbana? Może pod koniec życia coś w tym rodzaju napiszę. Bo miałem to szczęście, że spotkałem ludzi naprawdę znaczących. W różnych krajach.

Zacznijmy od Moskwy.

Do Moskwy przyjechałem w 1961 roku i zostałem tam przez cztery lata. Pierwszym znaczącym — i to w skali światowej — pisarzem, którego miałem zaszczyt poznać — był Borys Pasternak. To było na pół roku przed jego śmiercią; chociaż był już wtedy prawdopodobnie chory na raka, wyglądał bardzo zdrowo i bardzo młodo. Niesamowicie młodo. Miał 70 lat, a wyglądał jak 40-latek. Spotkałem dwóch ludzi, którzy w taki sposób zachowują młodość. Drugi to Czesław Miłosz.

Z Pasternakiem rozmawiałem tylko przez pół godziny. Zapisalem to w swoim dzienniku. Głównie rozmowa polegała na tym, że broniłem przed nim jego wczesnych wierszy. Podczas gdy Pasternak rozwijał teorię, że jego wczesne wiersze to głupstwo a prawdziwa rzecz to jego powieść, która z kolei mi się nie podobała. Jeszcze bardziej cenił swój dramat, który wtedy pisał i którego nie ukończył, nazywał się *Slepa piękność* i był na pewno niezbyt dobry.

Wśród rosyjskich filologów istnieje żart, że różnica między Pasternakiem a Achmatową polegała na tym, że Pasternak pisał coraz gorzej z biegiem lat, a wydawało mu się, że pisze coraz lepiej. Natomiast Achmatowa pisała coraz lepiej, a wydawało jej się, że coraz gorzej. Może to nie jest zbyt sprawiedliwe, w tym co pisał późny Pasternak też są rzeczy dobre, ja jednak obstawałbym za wczesnym Pasternakiem. On wtedy rozwijał ideę, że istnieje literatura dwóch rodzajów: *słowiesnost'* i literatura prawdziwa, do której zaliczał Hemingwaya (właśnie wtedy był w Moskwie bardzo czytany). Pasternak cenił tę prozę — jak mówił — spraw ostatecznych, pisaną wprost i bez ozdób, zbytnej ironii, zbytnej erudycji. Tak chciał pisać, a wszystko co wcześniejsze widział w kategoriach słowiesnosti, do której zaliczał np. Tomasza Manna.

Dziwna to teoria, ja mu usiłowałem powiedzieć, że prawdopodobnie Tomasz Mann nie jest taki zły, a wczesny Borys Pasternak jest po prostu wspaniały. On nie zgodził się z tym, powiedział, że to wszystko brednie, że dopiero teraz do czegoś doszedł. Nie miałem czelności powiedzieć mu, że *Doktor Żywago* mi się nie podoba.

M. L.: *To powieść legendarna.*

T. V.: Moim zdaniem po prostu powieść słaba, nie udana. Nie będę się nad tym rozwodził. Wiersze z tej powieści — zwłaszcza religijne, ewangeliczne

— jednak są dobre. Tu przypominam sobie historię następującą: w tym okresie, jeszcze przed spotkaniem z nim, w czasie wielkiej nagonki na Pasternaka, w Związku Pisarzy Litewskich rozpatrywano moje wiersze. I jeden z młodych krytyków, który i teraz jest dość znaną postacią, stwierdził — a wtedy *Doktor Żywago* to było coś takiego, za co trzeba człowieka rozstrzelać — więc stwierdził ten młody krytyk, że takie wiersze jak moje to mógłby napisać nawet doktor Żywago. Z jasnym podtekstem, że to wiersze okropnie anty itd. Na to powiedziałem, że przede wszystkim nie uważam tego za ujmę, poza tym, jeśli chodzi o *Doktora Żywago*, to nic nie mogę powiedzieć, ponieważ tej powieści nie czytałem jak prawdopodobnie także ten jegomość, który o tym mówi. A nie zwykłem dyskutować o rzeczach nie przeczytanych. Co zaś tyczy się Pasternaka, to jest wspaniałym poetą, i uważam za wielki zaszczyt, że porównano mnie do bohatera Pasternaka. Było to chyba moje pierwsze wystąpienie ściśle polityczne. Potem byłem spalony na długie lata jako poeta, po prostu nie drukowano mnie. *Doktora Żywago* przeczytałem dopiero parę miesięcy po tej historii w Związku Pisarzy Litewskich — i, jak już mówiłem, niezbyt mi się spodobał. Wiersze były do niego dołączone jako oddzielny, maleńki zeszytek. Pamiętam, że zgubiłem ten zeszytek w jednej z moskiewskich stołówek. Pobiegłem tam po upływie dobrej godziny i zapytałem kelnerki, czy nie znalazła czegoś, bo ja zgubiłem zeszyt z własnymi wierszami. Ona powiedziała, że owszem, owszem, przyniosła mi ten zeszyt, popatrzyła tak bardzo chytrze na mnie i dodała: no, no, ciekawe rzeczy pan czyta (tam było napisane: Borys Pasternak, wiersze z powieści *Doktor Żywago*). No i skończyło się na niczym, a wiadomo, że takie historie kończyły się przesłuchaniami itp.

Moskwa w tym czasie, dzięki Bogu, była jeszcze pełna ludzi z innych czasów. Była Nadieżda Mandelsztam, którą poznałem. Był Kruczonych, znany futurysta, przyjaciel Chlebnikowa i Majakowskiego, który w różnych towarzystwach czytał swoje wiersze. Wiersze niezbyt dobre, ale czytał je w sposób niesamowicie teatralny. To były typowe happeningi.

Żyli jeszcze uczeni z dawnych czasów, np. Żirmunski, którego spotkałem w Leningradzie. W Tartu spotkałem Romana Jakobsona, który przybył incognito, bo jako obywatel amerykański nie miał zezwolenia. Miał wizę na pobyt w Tallinie, a przyjechał z Krystyną Pomorską do Tartu. To incognito tak wyglądało, że gdziekolwiek by nie poszli, dziesięć metrów za nimi jechał samochód i wszystko, o czym mówili, było niewątpliwie zapisywane (Jakobson rozmawiał wtedy głównie o poetyce sanskryckiej).

Wracając do Moskwy — to jeszcze oczywiście Achmatowa. Spotykałem ją dosyć często. Do Achmatowej ludzie przynosili swoje wiersze, i to w ogromnych ilościach. Często grafomańskie. Czasem nie, ale naprawdę podobało jej się coś bardzo rzadko. Z tym, że ona była niesamowicie grzeczna, była wielką damą. Królową. Zachowywała się arystokratycznie i miała różne wybiegi wobec tych młodych poetów, których wiersze jej się nie podobały. Czasem, kiedy się podobały, mówiła wprost — jak Brodskiemu: pan jest geniuszem. Poszedł kiedyś do niej mój przyjaciel Jewgenij Lewitin. Został wprowadzony, i tak siedzi i patrzy na Achmatową. Ona w końcu zaczęła go zachęcać, no to proszę, niech pan czyta swoje wiersze. Jakie wiersze — powiedział Lewitin — ja nigdy w życiu żadnych wierszy nie pisałem. Wtedy Achmatowa go uściskała, ucałowała i powiedziała: no, w końcu przyszedł normalny człowiek. I bardzo się zaprzyjaźnili. Ja przyszedłem do Achmatowej z wierszami, tzn. z przekładami jej wierszy na język litewski. Przeczytałem parę wierszy, i ona powiedziała coś takiego zdawkowego, no, że intonacja uchwycona — tzn. nie spodobało jej się, bo znałem te jej wybiegi.

Wyszedłem zupełnie zdruzgotany. Nazajutrz telefon od Achmatowej. Co się okazało? Przyszedł do niej Koma Iwanow, on zna dobrze język litewski, a te moje przekłady leżały tam na stole. On je przeczytał i ocenił dobrze. No to proszę pana — powiedziała Achmatowa — proszę przyjść i będziemy rozmawiali.

O Achmatowej można by dużo opowiadać, tyle że bardzo niedawno wyszła książka Anatola Najmana, który był jej przyjacielem i sekretarzem osobistym.

M. L.: *Jednym z Czarodziejskiego chóru, który wspomina Brodski.*

T. V.: Tak, właśnie. Achmatowa była niezwykłą postacią i można by ją cytować długo, ale to właśnie zrobił Najman, dając swoiste *table-talk* Achmatowej.

M. L.: *Czy na tym chce Pan zakończyć leksykon postaci znaczących?*

T. V.: Kiedy na starość będę taki leksykon robił, będzie tam dużo ludzi, np. Michnik, nie mówiąc już o Miłoszu czy Kołakowskim.

M. L.: *Sumując — mówił Pan o związkach z ludźmi, twórcami; wspominał Pan myśli i miejsca. A książki życia?*

T. V.: Bardzo ważny w moim życiu był 1984 Orwella. Przeczytałem go dość wcześnie, około 1960 roku, po angielsku, zrobił na mnie ogromne

wrażenie, ale bardziej ideologiczne. No i *Dżuma* Camusa, którą też jako młody człowiek odebrałem jako przesłanie antytotitarne. A trochę głębsze wniknięcie w *Dżumę* każe zastanowić się nad złem. Nad tym, że ono jest nieusuwalne. Że dżuma zawsze jest z nami i w nas. Ale że niezgoda na nią jest konieczna. To jest proste, ale dla mnie było ważne, zwłaszcza na tle tej powszechnej hipokryzji, tj. zgody na chorobę. Inni? Wprawdzie Pasternak wybrzydzał się na Tomasza Manna, ale dla mnie Mann był znaczący. Zwłaszcza *Józef i jego bracia*. O atmosferze, w której to czytaliśmy, niech świadczy taka anegdotka: Juozas Tumelis, ten wspaniały mediewista, który teraz jest głową Sajudiusu, był przesłuchiwany przez KGB w związku z istnieniem naszej grupy samokształceniowej. W jakimś momencie przesłuchujący go zapytał, kto ma na niego aktualnie największy wpływ. Na to Tumelis po dłuższym namyśle powiedział wolno: Tomasz... KGB-ista bardzo się ożywił, wtedy Tumelis po krótkim milczeniu dodał: Mann. I to była prawda. Na nas wszystkich wtedy Mann miał duży wpływ. A z książek, które poznałem już raczej na emigracji, najbardziej chciałbym wyróżnić Płatonowa. Płatonow stworzył idiom komunizmu (przede wszystkim w *Wykopie*).

Zwichnięty język Płatonowa, ta jego zwichnięta składnia, to jego dziwne obrazowanie są w zupełności adekwatne wobec komunizmu.

Komunizm jest bardzo złożoną sprawą. Znacznie bardziej złożoną niż faszyzm.

Miłosz gdzieś w *Rodzinnej Europie* powiedział, że faszyzm jest złem w postaci absolutnej a straszliwość komunizmu polega na tym, że to jest splot dobra i zła. W zasadzie komunizm odwołuje się do dobrych cech w człowieku, do marzeń o sprawiedliwości społecznej, a w rezultacie wychodzi z tego niesamowite zakłamanie, i także góry trupów. Było to ogromne trwonienie pozytywnego potencjału ludzkości. Faszyzm mówi otwarcie, że chodzi o władzę, o niewolnictwo, o wyższość rasową — nie ukrywa swego antyhumanistycznego oblicza. Komunizm to ukrywa. Jest hipokrytyczny, kusi podstępnie.

No więc Płatonow jest jedynym pisarzem, który w stylu, słowniku, nawet w kompozycji uchwycił to zwichnięcie komunizmu. To jedyny pisarz, który nie tylko odczuł komunizm, ale pokazał o co tu chodzi. W tym sensie cenię go wyżej niż Bułhakowa, którego uważam za trochę przechwalonego. Bułhakow podszedł do komunizmu od dwóch stron, po pierwsze od strony trochę pozytywistycznego chrześcijaństwa, coś na modłę Renana. Nawet przypomina Leonida Andriejewa, który kiedyś napisał kiepską powieść o Jezusie Chrystusie. Z drugiej strony, Bułhakow podszedł do komunizmu

w sposób trochę wodewilowy, i to też nie bardzo działa. W każdym razie Zoszczenko robił lepszą satyrę.

Bułhakow był postacią poważną i człowiekiem na wielką skalę, ale *Mistrza i Małgorzaty* nie uważam za arcydzieło. A Płatonow — to coś zupełnie innego. To jest naprawdę arcydzieło.

M. L.: *A Jerofiejew?*

T. V.: To dobra literatura, ale drugiego poziomu. A Płatonow, moim zdaniem, jest na tym poziomie, co Cervantes, Szekspir albo Homer. Płatonow — to pisarz, który uchwycił sens ery w najgłębszym sensie tego słowa.

Kultura jest nagromadzeniem tekstów i morza

biblioteka tekstów

**chce wyławić te najważniejsze dla współczesnej
refleksji humanistycznej i literaturoznawczej**

Janusz Sławiński *Teksty i teksty*

Michał Głowiński *Nowomowa po polsku*

Edward Balcerzan *Przygody człowieka książkowego*
(ogólne i szczególne)

Maria Janion *Projekt krytyki fantazmatycznej.*
Szkice o egzystencjach ludzi i duchów

Jerzy Jarzębski *W Polsce czyli wszędzie.*
Szkice o polskiej prozie współczesnej

Jan Józef Lipski *Tunika Nessosa.*
Szkice o literaturze i o nacjonalizmie

Informacja o subskrypcji w następnym numerze